



Wiesław Dymny z żoną Anną

Film 7/88

Fot. J.Zaczyński

# NISKI, KRĘPY, KRÓTKO OSTRZYŻONY

**„Imię: Wiesław. Nazwisko: Dymny. Niski, krępy, krótko ostrzyżony. Nikt nie wie, skąd przybył i dokąd zmierza. Podobno w czasie wiosennej odwilży spłynął z gór ze śniegiem i wpadł na Akademię Sztuk Pięknych, skąd zstąpił do krakowskiej „Piwnicy pod Baranami”, gdzie czytał swoje, chyba śmieszne, ale za to absurdałne teksty. Posiada kilka zawodów i kilkanaście umiejętności. Pisze wszystko, głównie w nocy: opowiadania, scenariusze filmowe, wiersze, teksty piosenek, programy telewizyjne, ale najwyżej ceni sobie swój »Zbiór bzdur« - tak przed laty prezentował go na radiowej antenie kolega z „Piwnicy”, Marek Pacuła.**

Mija dziesięć lat od śmierci Wiesława Dymnego, człowieka, bez którego Kraków stał się o wiele uboższy. Zabrakło kogoś, kto na trwałe wrósł w polski pejzaż, pozostała twórczość, czekająca – niestety w przeważającej swej części – dopiero na odkrycie. Dymny pomimo olbrzymiej aktywności artystycznej stosunkowo mało publikował, traktował swą twórczość w sposób ulotny, przemijający, tak jak i życie. Tworzenie było życiem, życie – tworzeniem. W myśl recepty spokrewnionego z nim duchowo Edwarda Stachury – „wszystko jest poezją”.

Wiesław Dymny był artystą iście renesansowo uzdolnionym. Plastyk, literat, aktor, współtwórca i filar krakowskiego kabaretu „Piwnica pod Baranami”. Trudno znaleźć jakąś dziedzinę aktywności twórczej, której by nie próbował. Zawsze, o ile nie ze znakomitym, to oryginalnym efektem. Czy był to scenariusz filmowy, tekst piosenki, wiersz, obrazek namalowany na ścianie Piwnicy, epizod filmowy czy fraszka napisana na kawiarnianej serwetce, zawsze pozostawiał swoje piętno, część siebie.

Z kinematografią związał się w 1958 roku, zaangażowany do roli Pietrka w nieudanej próbie stworzenia polskiego westernu, jaką był film Wadima Bere-

stowskiego „Rancho Texas”. Później zagrał Sobiekróla w „Ktokolwiek wie...” Kazimierza Kutza i zakonnika w „Szyfrach” Wojciecha Jerzego Hasa, ale wprowadził go do polskiego kina właściwie dopiero film Henryka Kluby „Chudy i inni” (1966), gdzie debiutował jako scenarzysta (adaptacja własnego opowiadania) i zagrał jedną z pierwszoplanowych ról. Współpraca z Klubą zaoferowała jeszcze dwoma filmami: „Stońce wschodzi raz na dzień” (1967, premiera: 1972) i „Pięć i pół Błędego Józka” (1971, nie rozpowszechniany). W obu przypadkach był autorem scenariusza, lecz nie tylko. Oglądając te filmy, znając zarazem artystyczne *emploi* Dymnego, łatwo zauważyć, że jego wpływ na ostateczny kształt filmów daleko wykraczał poza rolę scenarzysty. Z wyjątkiem „Pięć i pół Błędego Józka”, gdzie nastąpiło dość wyraźne rozminięcie koncepcji scenarzysty i reżysera. W dwóch wcześniejszych filmach Dymny znalazł z Klubą wspólny język, zbliżoną „częstotliwość” artystyczną. Oba filmy mają wiele wspólnych cech: narracyjnie utrzymane w konwencji balladowej, z pewną dozą groteski, poruszają się w obrębie tych samych spraw. „Interesuje mnie – mówi w wywiadzie dla »Kina« (nr 2/67) Henryk Kluba – Polska. To



duże słowo, ale chodzi mi o sprawy proste. Chcę szukać tego, co można by określić jako specyficznie polski portret psychiczny, odmienny od pewnych uniwersalnych i wyeksploatowanych przez sztukę postaw ludzkich. (...) Chciałbym odkryć jakąś najprostszą formułę Polaka". Jeżeli mu się to udało, to w dużej mierze dzięki Dymnemu.

Poza współpracą z Henrykiem Kluba, Dymny często angażował się w realizacje innych reżyserów, głównie jako aktor. Nie wystąpił nigdy w głównej roli. Zawsze w drugo-, trzecioplanowych epizodach. A jednak jakże znaczących, do końca dopracowanych, nawet w złych filmach. Wystarczy wymienić brawurowy epizod dyżurnego statysty na planie „Pana Wołodyjowskiego” we „Wszystko na sprzedaż” (1968) Andrzeja Wajdy, rolę Franka w „Soli ziemi czarnej” (1969) Kazimierza Kutza, młodszego sąsiada w „Przez dziewięć mostów” (1971) Ryszarda Bera, robotnika w „Przyjęciu na dziesięć osób plus trzy” (1973) czy wiele innych, zawsze pulsujących autentyzmem i szczerością wypowiedzi. Skąd taka aktorska świadomość w używaniu właściwych środków wyrazowych u tego „największego z naturšczyków”, jak określił go Andrzej Wajda?

W liście do żony Anny Wiesław Dymny pisał: „Nie jest tak ważne, co się gra w danej scenie, grunt, że wiemy, że robimy to dla końcowego efektu. Na końcu przecież nadaje się ostateczny kształt całości. Wtedy, gdy to się już stanie, od razu tłumaczą się poprzednie pozorne niekonsekwencje, rozbieżności i inne odchylenia, a koniec ten to kulminacja, niekiedy nie znajdując się na końcu utworu, która tłumaczy całą postać, jej zachowanie i pobudki działania. Więc pół sceny można wybełkotać, żeby gdzieś tam powiedzieć »być albo nie być« i dalej można bełkotać. W pamięci widza będzie to zawsze monolog Hamleta. Tak to jest i w malowaniu. Na białym tle od razu znaczymy punkt, miejsce szczególnie ważne, takie, dla którego będziemy organizować całą płaszczyznę. Rozbijamy ją na szereg mniejszych scen i organizacji, ale wszystko podporządkowane jest temu jednemu punktowi. I kolor, i forma, i kierunek, i wszystko to, co może służyć całości. I to najważniejsze, naczelne miejsce trzyma nam potem cały obraz w jakimś porządku, w jakiejś konwencji. A te prawa obowiązują w każdej sztuce. Na przykład w pantomimie. Jeśli chcesz pokazać, że zapalasz jakiegoś szczególnego, życiowego papierosa, a przy tym bardzo dużo precyzji używasz przy chodzeniu, czesaniu włosów, nakładaniu rękawiczek, to w końcu zapalenie papierosa, tego nadzwyczajnego, utopi się w powodzi gestów, stanie się to papieros jeden z wielu. Po prostu gdzieś w jakimś momencie zabraknie nam już środków do spotęgowania. Dlatego wszystko musimy dozować, niemal jak aptekarz, ażeby nie zniwelować działania cyjankali czy naszego arseniku”.

Dymny, w każdej profesji, którą uprawiał, we wszystkim, co robił, starał się być perfekcjonistą. Był wymagający w stosunku do otoczenia, bo i wiele wymagał od siebie. Może dlatego jego kontakty z filmem polskim często rwały się. To nieustanne odejścia i powroty. Tak pisał do żony z planu jednego z filmów, w którym występował jako aktor: „Patrzę się i już nic nie mówię, jak dobry pomysł psuje się z zajadłością dziecka niszczącego lalkę, jak wszystko, co dobre, mija koło nosa. Nie można nawet nic poradzić na to. Nie istnieje żaden język porozumienia. Dlatego zabawiam się czasem na planie, oczywiście kosztem biednego reżysera, nic nie rozumiejącego, i kosztem czasu, tj. złościwie, ale oni marnują go takie masy, że to mnie trochę rozgrzesza, i zadają nagłe pytanie: czy chłop powinien mówić »Taki to i most« czy też »Taki tam



W filmie „Chudy i lni”: z Wiesławem Gołasem i Marianem Kociniakiem

most«, a jeżeli tam, to gdzie, a jeżeli wątpi, to czemu, a jeśli nie wątpi, to o co chodzi, o most? W takim razie dokąd prowadzi, czy przez rzekę, czy przez kanał, a może w ogóle nic pod nim nie płynie? I oni dają się nabrać na te osłe

zarty i dyskutują godzinami. A są tak śmiertelnie poważni, że można zasnąć. Co robię natychmiast lekceważąc dyscyplinę pracy albo udaję się na kilkukilometrową wycieczkę. Nie martwię się, że mnie tam akurat potrzebują, kiedy

W „Płwicy pod Baranami”

Fot. S.Markowski



bowiem wracam, dyskusja stoi w tym samym miejscu. A kamery w miejscu zupełnie innym. I nic z tego nie wynika, ale ludzie czują się zmęczeni pracą i są bardzo ważni. Kiedy im mówię, że widziałem siedemnaście bażantów, patrzą na mnie z powątpiewaniem. A to jest jedyna prawda”.

Kim był naprawdę Wiesław Dymny? Artystą czy hochsztaplerem, szczerością czy pozą, ogniem czy wodą? W liście do Barbary Natkaniec, w odpowiedzi na propozycję udzielenia wywiadu, pisał: „Mój życiorys artystyczny niewart jest wspomnienia. Co znaczy dziś w świecie oszalałej techniki (ś propoz odkurzacza nie umięją mi naprawić) jakiś tam artysta? Śmieszny jest! Ba, gdybym był konstruktorem niezwykłych kieliszków do boskich napojów, wtedy organizacje młodzieżowe śpiewałyby hymny na moją cześć...”

Jaki był naprawdę Wiesław Dymny? Mówi żona Anna: „Ludzie mają zakodowany pewien obraz Wieśka. Wszyscy go znali jakby z jednej strony, z publicznego zachowania, z tego, że dużo pił, że był okropnie agresywny, że urządził różne skandale. I wszystkim się wydawało, że był to brutalny, silny mężczyzna. On był właśnie odwrotnością tego pojęcia. Ta jego agresja, którą w sobie miał, była spowodowana tym, że był ogromnie wrażliwy. To był potwornie prawy człowiek...”

Jaki był naprawdę Wiesław Dymny? Niski, krępy, krótko ostrzyżony... Najbardziej cenił sobie swój „Zbiór bzdur”. Jest w nim taki fragment:

Na naszej wyspie  
Żyjemy wszyscy  
Śliczni i czyści  
Nagle do wyspy  
Płynię nieczysty  
Chrapie i sapie  
On nas na pewno  
Łajnem ochłapie  
Wszystko nam wyje  
Whisky wypije  
Żła sytuacja!  
Żła sytuacja!  
A więc zarządzam:  
EWAKUACJA!!!

Evakuacja nastąpiła 12 lutego 1978 roku.

**JERZY  
ARMATA**

Materiały wykorzystane w tekście pochodzą z archiwum rodzinnego i zostały mi udostępnione dzięki uprzejmości p. Anny Dymnej. (ja)